

Zapiski

na chusteczkach



Katarzyna Krzan

KATARZYNA KRZAN

ZAPISKI NA CHUSTECZKACH

Copyright by Katarzyna Krzan & e-bookowo 2008

ISBN 978-83-61184-05-8

www.e-bookowo.pl

kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2008

www.e-bookowo.pl

ANIOŁY 5
KATARZYNA 6
ZAPISKI NA CHUSTECZKACH HIGIENICZNYCH 7
FALLEN 8
TO GRZECH 9
SPACER PO LODZIE 10
FILIP 11
WIECZÓR 12
POKARM BIOGENICZNY 13
KSIĄŻKA 14
AD ASTRA 15
KACPER 16
GARGANTUA 17
KRÓLEWNA NA ŚCIEŻCE 18
DOM WIEDŹMY 19
TATA 20
DERKAN 21
BOHATER? 22
ŚWIĘTY SPOKÓJ 23
TANIEC U WÓD 24
TAKI POMYSŁ NA POWIEŚĆ 26
JOSE FERNANDEZ 28
I ZNOWU TO SAMO 30
ALCHEMIK 31
PRZEMIANA HENRYKA 32
LAS 33
SOBOTA 34
ZNIKNIĘCIE 35
NADEJŚCIE 36
GŁUCHY WARIAT 39
PRZESYŁKA OPŁACONA PRZEZ NADAWCĘ 40
ZADANIE 41
WŁOSY 42
O ZMIERZCHU 43

BABCIA DO WNUCZKI 44
STRACH 45
WINDA 46
HISTORIA 47
WALKA 48
MATYLDA 49
SPRAWA IRONII NIEŚMIERTELNEJ 50
POCIĄG POCIĄGIEM 51
SMAK WINOGRON 52
PO 53
KUSZYCIELKA 54
CHOROBA 55
MARIPOSA 56
NIGHTINGALE 57
LEGENDA O MATCE 58
MORDERCA 59
WARKOCZ Z TRAW 60
WISIE 61
SŁOWA, SŁOWA 62

ANIOŁY

Widuję anioły sześćskrzydłe. Ludzie mówią, że to z głodu. Ale ja nie jestem głodna. Moje ciało jest pokarmem samo w sobie i samo dla siebie. Słowo stało się ciałem, a ciało pokarmem. Czy ja bluźnię? Jeśli tak, to skąd się biorą te wszystkie anioły w mojej głowie, albo wokół mnie? A może to samo zło mami mnie obrazami trzepoczących skrzydeł? Nie wiem. Ale i tak widuję anioły sześćskrzydłe.

Nic nie wiem. Czuję się taka słaba. Jestem za ciężka, by polecieć razem z nimi do nieba. Cięży mi moje ciało. Boję się, że mogę nie być niczym więcej... Boże, czy ja bluźnię?

KATARZYNA

Powiedział mi dziś, że będę patronką Europy. Uśmiechnęłam się, bo wyczułam pokusy Szatana. Często przychodzi do mnie pod Jego postacią i kusi, nęci, podpowiada. Czasem jest tak przekonujący, że nie wiem, czy aby to na pewno on czy nie on.

Coraz częściej nawiedzają mnie demony. Siostra przełożona twierdzi, że to goście, pielgrzymi przybyli do mnie z najdalszych zakątków Italii, by posłuchać moich „świętych słów”. Właśnie dlatego jej nie wierzę. Wmawiają mi, że jestem święta, a ja przecież wiem, że bluźnię.

Bluźnię przeciwko Kościołowi rodzonemu, przeciwko księżom, nawet przeciwko papieżowi. Wiem to ja, czemu więc oni tego nie dostrzegają i nie spalą mnie na stosie, jak to robią z lepszymi ode mnie?

ZAPISKI NA CHUSTECZKACH HIGIENICZNYCH

Nie ma tego złego...

Spadaniem zajęłam się dokładnie dwie sekundy temu. To jeszcze nie profesjonalizm, ale też nie amatorstwo.

W końcu spadam praktycznie i samodzielnie. Teorię znam z książek. Niektórym bohaterom udawało się nawet przeżyć takie spadanie z samolotu, choć definitywnie odmieniało to ich życie.

FALLEN

Krzyk noworodka jest wyrazem przecucia bezmiaru tragedii wcielenia. Od momentu przedarcia się główki przez ciało matki zaczyna się ból materialnego istnienia.

TO GRZECH

Pośród strumieni wrzącego źródła wspierałam się na palce. Chłodna mgła unosząca się nad wodą otuliła moje ramiona drobnymi kropelkami zraszając moje skrzydła. Wzlecieć, wzlecieć jak najszybciej nim mgła opadnie, nim ktokolwiek zauważy.

Poruszyłam skrzydłami jak najciszej, by nie zbudzić wiatru. Wciąż drżały tamtym płomieniem. Nie mogę im ufać. Muszę uregulować oddech, ochłodzić czerwone policzki. Nie mogą przecież poznać, gdzie byłam.

SPACER PO LODZIE

Doskonale zakonserwowane ciało przedwcześnie zmarłej młodej kobiety wystawiono na widok publiczny przed kaplicą Najświętszej Pani w miasteczku Santo Grosso. Nie miała jeszcze szesnastu lat, gdy zmarła nagle, a właściwie zasnęła w drodze do tejże kaplicy wczesnym rankiem w niedzielę. Zastygła nagle. W bezruchu.

Nie odpowiadała na pozdrowienia mijających ją innych kobiet. Więc te, zaniepokojone, wezwały proboszcza. Ksiądz obejrzał ją dokładnie.

FILIP

„Twoje oczy zawsze widzą to, co chcą zobaczyć.” Umysł nadaje nazwy rzeczom zanim się pojawią. Powstaje z tego świat zbadany i zmierzony od początku do końca: góra, dół, lewy i prawy świat, miejsca święte i zwyczajne.

Zdarzają się jednak umysły niespokojne, które błędzą w tym świecie z pozoru tylko nadanych znaczeń. Umysły, które pytają o wszystko, każdemu zjawisku się dziwią i nie mogą uwierzyć w doskonałość świata. Właścicielem takiego nieuprzedzonego umysłu był Filip, od narodzin pacjent szpitali psychiatrycznych i zagadkowy przypadek dla całej rzeszy dyplomowanych lekarzy.

Życie Filipa składało się z zadawania pytań. Nie rozumiał niczego, nie nauczył się żadnej zasady, nie przyjął żadnego prawa. Nie pozwolił sobie wmówić, że dwa razy dwa to cztery. Pytał, dlaczego. A do tego odznaczał się przecież ponadprzeciętną, nienormalną wręcz inteligencją. Nie było dla niej skali w żadnych testach.

WIECZÓR

- Nie rozumiem, dlaczego to ty zawsze trzymasz pilota...
- Ja? Pilota?
- Pilota. Czy ja już nie mam prawa niczego sobie obejrzeć?
- Kto ma pilota, ten ma władzę. To co byś niby chciała oglądać?
- Film na Drugim.
- Na Drugim?! – spojrzał na żonę niedowierzająco zza okularów. – A cóż takiego niby jest na Drugim?
- Już się zaczął. Daj tego pilota wreszcie.
- Weź sobie. Przecież leży.
- Koło ciebie...
- Muszę go mieć pod ręką. Zaraz zobaczymy, co to za film ci się marzy... – Sięga po gazetę telewizyjną, jedyną prasę dostarczaną raz w tygodniu do domu. Uważnie czyta streszczenie filmu.

Żona tymczasem zdobyła dostęp do pilota i zaczęła skakać po kanałach.

POKARM BIOGENICZNY

Odkąd udało się wreszcie dokonać sprawnego i w miarę taniego sklonowania ludzkiego embrionu i wynaleźć maszynę wzrostu, o której raelianie mogli tylko pomarzyć, stworzenie dorosłego osobnika, a raczej czyjejś dokładnej kopii stało się kwestią kilku tygodni. Każdy w zasadzie mógł sobie pozwolić na swojego sobowtóra chodzącego za niego do pracy. Technika tak się rozprzestrzeniła, że coraz więcej firm zaczęło ją z powodzeniem stosować. Bardzo szybko okazało się, że produkowanie klonów jest tańsze od produkcji tradycyjnej żywności. Zwykły kurczak stał się rarytasem. Za to identycznie wyglądające, pozbawione owłosienia klony można było kupić w każdym sklepie spożywczym. W barach szybkiej obsługi serwowano rączki i nóżki. W restauracjach zaś nadziewane brzuszeki. Prawdziwym przysmakiem okazały się główki. Ich przygotowanie było szczególnie trudne, wymagało długotrwałego pieczenia w odpowiednio dobranych przyprawach i specjalnym sosie. Zwykle gospodynie nawet się za to nie zabierały. Dlatego główki zwykle lądowały w koszach na śmieci, by potem stać się przysmakiem głodnych psów na wysypiskach, chyba że ktoś miał w domu własny utylizator odpadów biologicznych. My nie mieliśmy.

KSIĄŻKA

- Widzisz, jednak na moje będzie: Niobe.
- Niobe? – zapytała niepewnie.
- Nike na pewno nie – odparł z przekonaniem.
- Chcesz wziąć koło ratunkowe? – Z telewizora popłynął profesjonalnie modulowany troskliwy głos prezentera.
- Tak. Chyba wezmę... Może telefon do przyjaciela?
- Jesteś tego pewien? Że akurat to koło jest ci teraz najbardziej potrzebne? Może jednak zapytasz publiczności albo poprosisz komputer o wykluczenie...
- No, nie wiem...
- Przecież mówię, że Nike! – zdenerwował się ten przed telewizorem. Jego ręka bezwiednie wyruszyła na poszukiwania pilota. – Zaraz dadzą reklamę i tyle z tego będzie, a na Drugim powinien być teraz jakiś film...

AD ASTRA

Książkę kupiłam z czystej ciekawości na wyprzedaży w miejskiej bibliotece. Dałam za nią całą złotówkę przeznaczoną na pieczywo, więc coś musiało w niej być, że dla nieznanego autora i kiepsko zaprojektowanej okładki zrezygnowałam z jedzenia. A były to przecież jedyne pieniądze, jaki wtedy miałam przy sobie. Tego dnia pokarmem stały się te strony o mistyce i pragnieniu uduchowienia ciała za wszelką cenę. Mogłam więc być dumna, że poszczę przy tak wzniosłym temacie.

Przeczytałam ją tamtego dnia całą. Nie była kompletna, brakowało wielu stron. Przede wszystkim początku i końca. Jakby ktoś specjalnie je wyrwał, żeby następnemu czytelnikowi odebrać całą przyjemność. A jednak nie było śladów mechanicznego zniszczenia. Książka po prostu zaczynała się w połowie zdania i kończyła w.... jego drugiej połowie, co wcale niczego nie wyjaśniało. A jednak pochłonęłam ją całą i zapragnęłam więcej.

KACPER

Kacper wychodząc z domu zatrzaskał drzwi na kłódkę. Po długiej chwili był już w środku siłując się z zamkiem wyjściowym. Od dłuższego już roku miał z nim problemy. Co moment się zacinał i nie był w stanie rozpiąć spodni w najmniej nieoczekiwanych miejscach,

Wkurzało go to nieznośnie.

Wziął w końcu mocny wdech i postawił go na półce obok telewizora. Za szklaną niebieską szybą nie było nic oprócz jakiegoś skaczącego obrazu. Zastanowiło go to trochę. Wczoraj oddawał to pudło do sklepu. Tak, nie chcieli wziąć działającego z powrotem.

GARGANTUA

Rozrastam się wzdłuż i wszerz. Niedługo nie będzie mnie można zobaczyć w całości. Stanę się atrakcją turystyczną oglądaną z okien małych samolocików. Na razie mogę pisać. Ale nie potrwa to już długo. Nie będę w stanie utrzymać w monstrualnych dłoniach największego na świecie pióra. Będę musiała dyktować komuś moje słowa. Ale kto je usłyszy, jeśli moja głowa będzie gdzieś na wysokości stratosfery?

Będę musiała się położyć. Ale nie wiem, czy pozwolą mi zwalić się całym cielskiem na pół Europy. Zresztą może być nie wygodnie ze względu na Alpy... Myślę, że będę musiała udać się na inną planetę. Dwa kroki. Problemem będzie brak tlenu i samotność. Może coś skonstruują dla mnie. Jakoś przecież trzeba będzie rozwiązać kosmiczny kłopot, którym, bez wątpienia, już wkrótce się stanę.

W tym tygodniu żywię się drzewami. Nie mogę już pisać o sobie. Chyba, że jakimś drapaczem chmur po piaskach Sahary. Byłby to największy tekst na świecie. Rekord nie do pobicia!

Zainteresowanie moim ciałem wzrasta. Dyktuję swoje myśli na bieżąco do kilkunastu dzienników i kilkuset tygodników. Robią na mnie niezłe pieniądze...

KRÓLEWNA NA ŚCIEŻCE

Królewna Śnieżka obudziła się dziś bardzo późno. Wszystko przez to, że krasnoludki strasznie chrapały i królewna zasnęła dopiero o świcie, gdy małe ludziki w czerwonych ubrankach udały się już do pracy. Od kilkudziesięciu lat krasnoludki pracowały dla skrzatów świętego Mikołaja, które nie radziły sobie z robieniem zabawek. Skrzaty poprosiły o pomoc bezrobotne krasnoludki, które zgodziły się na współpracę po dość długich pertraktacjach i zredagowaniu szczegółowego kontraktu. Krasnoludki szukały na śmietnikach starych zabawek, które potem skrzaty przerabiały na nowe. Taki bożonarodzeniowy recycling...

- A ja? – upomniała się zniecierpliwiona długim wstępem królewna.
- Przecież miało być o mnie!
- To prawda. Bajka o Śnieżce...

DOM WIEDŹMY

- Tak, to ona. To na pewno ona. Rzuca te uroki, albo nawet i klątwy. No, wystarczy spojrzeć. Te oczyska wredne. I te swetry powyciągane. Z włosów trupów je robi. Sama widziałam ją w nocy na cmentarzu, bo ja tamtędy codziennie wracam z pracy, ale teraz to się boję i chodzę dookoła. Bo ona tam stare trupy wykopuje, żeby z nich robić te swoje mikstury, którymi potem nas truje...

TATA

Ta historia nie może być opowiedziana tak naprawdę, bo ludzie, którzy ją tworzą są mi zbyt bliscy, by móc pokazać ich obiektywnie, co więcej – by próbować czytać w ich myślach, jak zwykli to robić narratorzy w wielkich powieściach, nie cofający się nawet przed przenikaniem myśli zwierząt.

Myślę o tych wszystkich pewnych siebie narratorach i staram się przejąć choćby część ich odwagi, ale to trudne. Trudne jest pisanie o ludziach, których się zna, jakby byli tworem wyobraźni. Spróbuję jednak, ale zrobię to tylko dla Ciebie, Czytelniku. Nie chcę Cię przecież zawieść. Oddam Ci więc do rąk moją historię. Zrobisz z nią, co zechcesz, a ponieważ nie ma zakończenia, będziesz mógł wymyślić je sam.

Mój ojciec był tajemniczym człowiekiem. Nigdy nie mówił o swojej pracy, którą całymi latami wykonywał wyłącznie nocą. Nigdy nie udało mi się dowiedzieć, dokąd wychodził po zmroku, ani skąd wracał zmęczony wraz z pierwszymi promieniami słońca, by potem spać do południa, a po obiedzie w milczeniu oglądać telewizję.

DERKAN

Dariusz Derkan zeskoczył z konia wprost w błoto.

- Cholera – zasyczał z niezadowoleniem.

Wokół było zupełnie ciemno. Nawet Księżyc nie dawał żadnego blasku. Nie było też widać ani jednej gwiazdy. Jakby tego było mało: od bagien zaczęła przysuwać się mgła. Nie była to najlepsza pora na konne przejażdżki. Jednak Derkan nie przybył tu dla rozrywki. Miał do wykonania zadanie.

Rozejrzał się, a ponieważ niczego nie dojrzał w ciemnościach, wciągnął głęboko powietrze, węsząc. Oprócz zwykłego zapachu zgniłej ziemi, rozkładających się ciał dawno zmarłych zwierząt, poczuł coś jeszcze: ciepły zapach krwi. Koń także coś wyczuł, bo prychnął zaniepokojony. Ona musi tu gdzieś być, pomyślał. Ucieszył się, że znalazł ją tak szybko, albo to ona jego... Nie ważne. Nie przepadał za błądzeniem nocą po bagnach. Wolał inaczej spędzać nocne godziny.

BOHATER?

W taki dzień, jak dziś można się upić bez wyrzutów sumienia i pozwolić wyobraźni ponieść się w inny wymiar. I właśnie to chcę zrobić: odlecieć myślami z piórem przyklejonym do kartki.

Piszę więc do siebie tekst z zaświatów. Jutro go przeczytam przy dziennym świetle i zdziwię się, że powstał.

Najpierw wymyślę bohatera, który będzie robił rzeczy, których sama nigdy nie zrobię. Będzie silny i pewny siebie, będzie realizował każde, choćby najobrzydliwsze pragnienie. Będzie także posiadał magiczne zdolności, z poruszaniem się w czasie na czele. Albo i nie.

Potem wymyślę mu świat, w którym będzie żył. Będzie tam mnóstwo cudownych zjawisk, niezwykłych zdarzeń i symbolicznych miejsc. Wszystko dla zawziętych krytyków, biednych czytelników i schizofreników.

ŚWIĘTY SPOKÓJ

Święty spokój. Błżnierczo pogański. Ortodoksyjnie religijny. Bezwzględna izolacja. Pokojowe współistnienie.

Jan miał własną definicję. Święty spokój oznaczał dla niego bezproblemową samotność. Bez udziału nieznośnych innych. Samotność w czystej postaci. Idealna kontemplacja niewzruszonej stałości spokoju.

TANIEC U WÓD

Czas linearny nie wstępu w granice miejscowości zdrowotnych kuracji. Panuje tam czas wiecznego powrotu do młodości. Nie idzie naprzód, ale cofa się gdzieś w głębiny niespełnionych marzeń.

To dla młodych duchem emerytów wybudowano deptaki, kawiarenki, pijalnie wód i dancingi. To dla nich młodzi kelnerzy wypychają kieszenie swoich spodni z lumpexu, a brzydkie kelnerki sztucznie podnoszą biust opadły do pasa od pracy przy zmywaniu garów, w których co dzień gotuje się ta sama kasza i ten sam barszczyk. To dla młodych emerytek istnieją zasuszeni masażyści i ich żeńskie odpowiedniki w fartuchach zarzuconych na nagie, spocone ciała.

Reguła jest jedna: na kuracje jeździ się w pojedynkę, nigdy z mężem czy z żoną, ewentualnie z dawną przyjaciółką z innego turnusu. Ale lepiej nie mieć żadnych znajomych, którzy mogliby potwierdzić magiczną metamorfozę grubej baby przesiadującej każdego dnia w podomce na ławce przed blokiem w wytapetowaną boginię parkietów w czarnej mini i wydekoltowanej bluzeczce, odebranej niesfornej wnuczce jako kara za gorszenie sąsiadek.

To tu przygarbiony weteran, który narzeka na strzykanie w kościach, podagrę, żylaki i hemoroidy, przeistacza się w ognistego lovelasa, stawiającego kolorowe drinki świeżo poznanej pani.

Kraina cudów, dwudziestoośmiodniowych powrotów do niezrealizowanych szaleństw sobotnich nocy sprzed czterdziestu lat. Księżycowy czas, w którym można wszystko: przetańczyć z miłym panem cały five, a nawet zostać na sali aż do 22-iej na dancingu, a po

uroczym wieczorze może nawet zaprosić go do sanatoryjnego pokoju na kilka chwil wzniosłych uniesień i złudnych obietnic.

W tym świecie prawdziwym dysonansem jest obecność biologicznie młodych. Dwie nastolatki ulokowane pomiędzy emerytowanymi kuracjuszami, mogą przyprawić wielu z nich o palpacje. Bo: jakże one tańczą! Z jaką energią! Jak dobrze potrafią poruszać się na parkiecie! Mogą tańczyć całymi godzinami same szybkie kawałki (jeśli na dancingach takie w ogóle są...) i nie mieć zadyszki, ciemności przed oczami, nie odczuwać bólu stawów i mięśni. Nic. Nie jest dobrze patrzeć na młode, zdrowe ciała, wijące się wśród podekscytowanych sześćdziesięciolatków, pragnących dotrzymać im kroku. Takie dwie, przeciętne nastolatki, zupełnie nie zauważane na młodzieżowych dyskotekach, tu stają się prawdziwymi gwiazdami. Diamonds are the girl's best friends! One dwie: Madonna i Jennifer Lopez a wszyscy podsuszeni mężczyźni wokół nich, pragnący choćby tylko otrzeć się o te gorące ciała, poczuć pulsowanie ich krwi pod cieniutkimi sukienkami. Taka okazja nie powtórzy się przecież po powrocie do domu, do żony, wnuków, węgla z piwnicy, wiaderka ze śmieciami.

TAKI POMYSŁ NA POWIEŚĆ

Niech będzie to opowieść psychologizująca z elementami groteski, czarnego humoru i zabawy językowej.

Fabuła mogłaby wyglądać banalnie, ale tylko w streszczeniu: dwoje ludzi – kobieta i mężczyzna (motywny starego konfliktu płci) mieszkają razem w ciasnym, choć przytulnym mieszkaniu. Zamieszkali razem, bo kochali się tak bardzo, że uznali, iż nie mogą bez siebie wytrzymać. Z biegiem czasu okazało się, że nie mogą wytrzymać, ale ze sobą. Prawie ze sobą nie rozmawiając, nie patrząc sobie w oczy, robią sobie nawzajem złościwości. Przesuwają przedmioty, zostawiają nieumyte talerze, zjadają ostatni kawałek ulubionego serka tej drugiej osoby. Konflikt między nimi zagęszcza się, choć o tym nie rozmawiają, nie kłócą się, nie wypominają sobie krzywd. Przekonują siebie nawzajem, że nadal się kochają, by już za plecami pokazywać sobie język. Robią wrażenie idealnej pary, ale tylko na zewnątrz. W łóżku są doskonałymi kochankami. Nawet tam bowiem walczą ze sobą. Każde chce pokazać, że jest lepsze i dlatego dają z siebie wszystko. Przez całą wyczerpującą dla obojga noc. Żadne z nich nie przyzna, że ma dosyć, powie raczej, że chce więcej.

To każe im myśleć, że wszystko jest w porządku, a te ustawione w złym miejscu kubki, książki, przewrócone krzesła, wyrwane klamki, potargane serwetki, poklejone plastrem szyby, poniewierające się skarpety nie są wcale ważne, choć denerwują ich straszliwie. Szał wyładowują w łóżku. Dlatego jest im tak dobrze. Kochają się z całych sił, aż do zapomnienia o dziennych porażkach.

Finał mógłby być taki: jedno z nich wreszcie nie wytrzymuje i zabija to drugie. Najlepiej w sposób beznadziejnie banalny: uderzeniem czymś ciężkim w tył głowy w trakcie sceny łóżkowej, albo przypadkowym wrzuceniem włączonej suszarki do kąpeli. Sposób powinien być jednak malowniczy i filmowy.

A teraz pora na chwyt narracyjny: całą historię opowiada kobieta. Od początku czytelnik wie, przeczuwa, domyśla się, że to ona go w końcu zabije. Nie wytrzyma nerwowo i zabije, bo na awanturę ją nie stać.

Punkt kulminacyjny jest jednak inny: to on zabija, a całą historię opowiada z jej punktu widzenia, by mieć wytłumaczenie. Ma poczucie winy, tak bardzo się z nią zżył, że przestał odróżniać siebie od niej. Albo: jedno i drugie. Ona zabija, on opowiada.

Pod koniec można jeszcze raz, tak dla zabawy i przyjemności zmyślenia, jeszcze raz wszystko odwrócić: nikt nie zginął, to wszystko wymyśliła sobie ona. Po chwili jednak mogłoby się okazać, że jednak nie – mordercą jest on. I tak dalej.

Właściwie na tym można już zakończyć. Ta powieść nigdy już nie powstanie, bo właśnie została opowiedziana.

JOSE FERNANDEZ

Jose Fernandez był największym draniem na całym południowym wybrzeżu. Znały go tu wszystkie kobiety spod czerwonych latarni i wszyscy mężczyźni pracujący przy wyładunku towarów z przemytu.

Był Jose Fernandez ubóstwiany i nienawidzony. Nawet policja czuła wobec niego respekt; na komisariatach szeptano o nim z szacunkiem i choć wiadano o wielu jego ciemnych sprawkach, nigdy nie udało się go złapać za rękę. Był czysty jak łąza, bo nigdy nie namówiono jego domniemanych współników na to, by go wydali organom ścigania. Czuł się więc bezpiecznie, robiąc interesy pod samym nosem komisarza.

Matki straszyły swoje dzieci mroczną postacią Jose Fernandez. A nocą, gdy ich mężowie i dzielni synowie zasypiali, marząc o wielkich czynach u boku bohatera, one także snuły fantazje o gorących romansach i niebezpiecznych schadzkiach. Wiadomo było bowiem, że Jose Fernandez był najlepszym kochankiem na całym południowym wybrzeżu. Krążyły opowieści, że nikt tak jak Jose Fernandez nie potrafił dogodzić kobiecie bez względu na wiek. Już od przeszło pół wieku Jose Fernandez przyprawiał o omdlenie młode dziewczęta i dojrzałe wdowy.

Dla mężczyzn Jose Fernandez był ucieleśnieniem męskich cnót takich jak: bohaterstwo, twardy łeb do rumu i niesamowity refleks, który pozwalał mu zastrzelić wroga nawet podczas dogadzania kobiecie, co czynił po mistrzowsku. Przy kobietach mężczyźni potępiali Jose Fernandez jako bezbożnika, truciciela, tchórza i gwałciciela bydlę. Kobiet oświadczały swoim mężom, że nigdy przenigdy nie spojrzwałyby

na takiego drania, a nocą, gdy ich kochankowie kładli się na nich, marzyły, by choć raz jeden Jose Fernandez skinął na nie palcem, którym ponoć potrafił doprowadzić kobietę do szaleństwa, nawet nim nie poruszając.

Żyła więc legenda wielkiego Jose Fernandez na południowym wybrzeżu. Władze chciały go dopaść za liczne zbrodnie, których się dopuścił przeciwko państwu i jego mieszkańcom. Mężczyźni chcieli się z nim zbratać, by wydrzeć mu sekret magicznego powodzenia u kobiet, a kobiety... wiadomo. Chciały opowiadać wnukom, że to dla nich Jose Fernandez zginął w pojedynku, w strzelaninie, albo rzucił się pod pociąg z miłości.

Historia Jose Fernandez byłaby pięknym tematem na grubą książkę, można by napisać o nim całe tomy romansów, powieści przygodowych, a potem rozpraw naukowych. Z samych pieśni na jego temat mógłby powstać śpiewnik złożony z tysiąca pozycji.

Gdyby Jose Fernandez naprawdę istniał byłoby to jednak niemożliwe...

I ZNOWU TO SAMO

I znowu. To samo. Otwieram drzwi. A on wisi. W powietrzu. Coraz częściej tak jest.

ALCHEMIK

Alchemik stanął pod rozgwieżdżonym niebem widocznym przez oszkloną kopułę sufitu

PRZEMIANA HENRYKA

Obudziwszy się zanim dobrze zasnąwszy i przyśniwszy mu się coś miłego, wstawszy i otrząsnąwszy się z sennej ociężałości, udał się do łazienki celem zbadania swego aktualnego jestestwa. Od jakiegoś bowiem czasu udało mu się kątem oka zaobserwować przedziwne metamorfozy, atakujące gdzieś tam jego męsko – niewieście ciało. Niewieście, bo pozbawione zarostu na policzkach, za to obdarzone bogato w okolicach klatki piersiowej dwoma obfitymi wzniesieniami, potocznie zwanymi biustem. Męskie zaś, gdyż świadczył o tym nadnaturalnych rozmiarów twór mięsisty płaczący mu się pomiędzy nogami. Głównie ze względu na niego i dumę, jaka się z jego posiadaniem wiązała, uważał się za mężczyznę i nie martwił się specjalnie pięknym, donośnym i przyciągającym wzrok biustem, którego mogłoby mu pozazdrościć wiele zakompleksionych kobiet.

LAS

Pewnego dnia pod koniec XX wieku zjawił się w lesie człowiek. Wyglądał niepozornie. Miał oczy i uszy, wyraźnie odróżniał się od drzew, które były w lesie wcześniej. Właściwie, były tam od początku świata. Ciągłe te same, bo rozmnażały się między sobą od milionów lat. Rośliny nie poznały człowieka. Nigdy czegoś takiego nie widziały. Zaczęły więc się dziwić i szeptać do siebie. Człowiek niczego nie zrozumiał, bo nie znał mowy liści. Drzewa były mniej gadatliwe. Wydały tylko podejrzliwy pomruk i zamilkły. Krzakom zrobiło się wstyd, więc także przestały szeptać. Zrobiło się cicho.

SOBOTA

W moim kraju sny są gorące. Mają zapach chłodnej, dobrze wywietrzonej poduszki. Śpi się w moim kraju cudowniej niż żyje. Tylko w snach trawa jest wieczna, a przestrzeń ma więcej niż trzy wymiary. Dlatego największym marzeniem ludności mojego kraju jest śmierć podczas snu.

Stefan zasnął snem twardym i grubym. Nigdy już nie miał się obudzić, bowiem należał do szczęśliwców umierających w błogim śnie o dobrobycie. Jego małżonka nie wiedziała o tym. I, jak zwykle, nie robiąc mu śniadania, udała się do pracy. Spędziła tam większą część dnia, a potem poszła jeszcze z koleżankami i jednym kolegą na obiadową kolację do nowej, chińskiej restauracji, która była jedyną atrakcją w mieście. Wszyscy tam jadali, choć nikt nie mógł przełknąć tamtejszego jedzenia. Dostali zaproszenia od szefa z okazji świąt. Poszli je więc czym prędzej wykorzystać. Póki nie spadł śnieg, bo gdy spadnie, jest go zwykle tak dużo, że wszystko w mieście zostaje zamknięte. Wówczas wszyscy siedzą w swoich domach, czekają na słońce i dbają o kaloryfery, żeby im nie pozamarzały.

ZNIKNIĘCIE

- Naprawdę nie wiem, jak to się stało. Po prostu zniknął, wyparował – powiedziała na koniec.

Komisarz westchnął, poprosił o jeszcze jedną kawę i zaczął oglądać swoje notatki z przesłuchań. Nic się nie zgadzało. Ani jeden fakt nie został potwierdzony przez dwie osoby. Każdy świadek miał własną wersję, oczywiście, najbardziej korzystną dla siebie. Niczego mu to nie ułatwiało. Tym bardziej, że na miejscu zbrodni nie znaleziono żadnego narzędzia, żadnych śladów. Co więcej: nie było nawet samego sprawcy tego zamieszania, czyli trupa. A jednak Józef K. bezsprzecznie zniknął z tego świata.

NADEJŚCIE

Wpłynąłem na szerokiego przestwór oceanu i padłem na kolana prosto w fale. Mój statek zatonął, a wokół ni żywego ducha ni martwej kłody. Nikt nie wołał jak okiem zasiał. Zewsząd tylko woda, woda, woda...

Powstałem jednak dumnie z kolan, bo po jakiego tak klęczeć na środku oceanu czy jakiego morza. Powstałem i sięgnąłem wzrokiem horyzontu. Nic z lewej, nic z prawej. Odwróciłem więc me zwieńczenie tułowia i patrzeć począłem uważniej. Patrzą i jest. Choć oczom mym zmęczonym, przesolonym wierzyć zrazu nie chciałem. Patrzą i jest. Ziemia niczyja, a może obiecana. Wyspa to czy ląd? Za mało miałem danych.

Ruszyłem zatem swe ciało w kierunku ubitej gliny, czy jakiejś tam innej gleby. Twardsza bowiem ziemia jest od wody. I bardziej sucha.

Dotarłem po niemałym wysiłku do brzegu i ujrzałem tubylców stojących lub leżących na piasku. Prawie nadzy byli. Opaleni. Namaszczeni. Stali i patrzyli na mnie zadziwieni. Nigdy widać nie widzieli tak okazałego herosa. A ja patrzyłem na nich, nie przestając jednakże przesuwając się w głąb suchego lądu.

Otoczyli mnie tubylcy i zaczęli dotykać paluchami. A paluchy ich były tłuste, jakby przed chwilą coś jedli. I mówili coś do mnie. I szturchali. I łaskotali. Aż zacząłem wydawać z siebie nerwowy chichot. Spontaniczna to była reakcja. Mnie samego zadziwiła.

Cofnęli się na to. Ośmielony ich przestraczem ruszyłem przed siebie, omijając zgrabnie co bardziej zagorzałych.

I wstąpiłem na pieniek, by przewyższać ich jeszcze znacznie. Pragnąłem podkreślić swą genetyczną wyższość i wyjaśnić im ich marne położenie w galaktyce.

Ale mowę mi odebrało, gdy nagle zaczęli krążyć wokół mnie w jakimś dzikim tubylczym tańcu.

Takie rzeczy widywałem dotąd tylko na filmach przyrodniczych. Zbiorowa histeria, tudzież ekstaza zamilkła jednak w półpodskoku, gdy ujawniłem przed nimi swój ostateczny argument.

Zamilkli wszyscy tubylcy na jego widok. Nidy takiego dużego nie widzieli. Pomachałem nim ostrzegawczo i profilaktycznie, by wzbudzić tym większą grozę w ich zatwardziałych sercach i niedowierzających oczach.

Zrozumieli wnet przesłanie i oddali mi pokłon zgodnie z przedwiecznym rytuałem. Choć niektórzy, tchórzliwi głupcy, uciekli. Znalazło się również tacy, którzy poczęli robić mi zdjęcia, oślepiając moje wrażliwe rogówki błyskiem fleszów, jak jacyś skretyniali paparazzi.

Ukarałem ich przy użyciu mojej broni, którą jeszcze przed chwilą tak gorączkowo podziwiali. Amatorzy fotografii stanęli sparaliżowani, a reszta pogrążyła się w głębokim szoku.

Tryumfowałem.

Przejąłem nad nimi kontrolę. Telepatycznie nakazałem im zrzucić te barwne kawałki materii, którymi bezwstydnicy okrywali resztki swojej intymności. Rozebrali się. A wiadomo, że nadzy byli bezbronni. I całkiem bezwolni.

Zjadłem zatem, zgodnie z regulaminem, wszystkich. A było ich czterdziestu i czterech.

Melduję, że misja została rozpoczęta.

GŁUCHY WARIAT

Głuchy wariat usiadł na przyczepie przypadkowo spotkanego wozu transportowego, jadącego właśnie do bazy. Głuchy wariat był bardzo zadowolony z takiego ustawienia zdarzeń. Mimo głuchoty nabytej od nieustannego słuchania wiadomości giełdowych, miał całkiem niezłe rozeznanie w realiach rzeczywistości zewnętrznej wobec jego superego. Wiedział for example, że pierwsze zdanie mogło stać się całkiem niezłym rozpoczęciem fascynującej opowieści o jego mroźnych krew w żyłach przygodach w bazie stacjonujących na Ziemi Obcych. Takiej oto wiedzy dostarczała mu jego nabyta głuchota.

PRZESYŁKA OPŁACONA PRZEZ NADAWCĘ

Firma terrorystyczna z tradycjami ma dla Państwa niespotykaną
okazję!

Przyjmujemy zlecenia na rewolucje, przewroty i pucze
24 godziny na dobę!

Specjalizujemy się w dobrze zorganizowanych porwaniach dla okupu
(wykrywalność 0%).

ZADANIE

Była ciemna, burzliwa noc. Telewizor przestał grać. Odbiór przez satelitę był dobry, ale nie podczas takiej burzy i sztormu. Żadnego kabla nie można było pociągnąć po morskim dnie. Nie opłacało się. Dla jednego człowieka... Został więc sam. W ciszy martwego domu wśród szalejących żywiołów. To nie prawda, że w takich chwilach nie myśli się o śmierci i samotności. Został sam bez dalszych wskazówek. Decyzje zostały dziś podjęte. Był pewien, że dotyczą właśnie jego.

WŁOSY

Włosy spłynęły ze stołu na kamienną podłogę prosektorium. Dwaj pracownicy domu pogrzebowego zaniemówili z wrażenia. Wiedzieli, że włosy, podobnie jak paznokcie, rosną również po śmierci. Nigdy jednak nie widzieli czegoś podobnego.

Zgon stwierdzono wczoraj około godziny trzeciej nad ranem. Sekcja zwłok wykazała, że przyczyną zgonu było uduszenie. I nie byłoby w tym nic niezwykłego gdyby nie jeden szczegół. Narzędzie zbrodni należało do denatki. Została bowiem uduszona własnymi włosami owiniętymi wokół szyi. Ich koniec morderca wcisnął dziewczynie do gardła, kiedy ta jeszcze żyła.

Włosy denatki po zmierzeniu na miejscu zbrodni przez policjantów liczyły sobie dwa metry i czterdzieści centymetrów. Niecałą dobę później - Pół metra więcej. Pracownik prosektorium nie mógł uwierzyć w tak wielkie niedopatrzenie. Razem z pomocnikiem zmierzili więc włosy zmarłej jeszcze raz. Proste doświadczenie wykazało, że włosy rosną od kilku do kilkunastu centymetrów na godzinę. Pomocnik co pół godziny wykonywał dokumentacyjne zdjęcia głowy denatki. Kiedy więc pracownicy zakładu pogrzebowego Lilia znaleźli się w prosektorium, ciemne błyszczące włosy zamordowanej liczyły już blisko trzy metry.

O ZMIERZCHU

I oto znowu tu jestem. W domu burzliwej starości. Powoli tracąc wzrok na rzecz zbyt wyostrzonego słuchu. Najodleglejsze dźwięki z innych galaktyk są mi teraz bliższe od własnego, wychłodzonego ciała.

Skąd się tu wzięłam. Jak długo jeszcze będę musiała tak żyć. W oczekiwaniu. Na coś. Najdziwniejsze, że sama nie wiem, na co. Właściwie powinnam się bać. Głosów. Cieni. Tak podpowiada rozum. Zachłanny irracjonalnych wrażeń. A ja nic. Nie boję się. Siedzę. Marznę. Trwam. Po prostu czekam.

Gdzieś na innej planecie dzwonią dzwony. Ktoś biegnie, śmiejąc się między kroplami deszczu. Słyszę rozmowy w nieznanym mi językach i jestem przekonana, że każdy myśli teraz o mnie. Zamkniętej w zielonych ścianach z kiczowatym obrazem ukoronowanej Matki Boga Dziewicy na jednej z nich.

BABCIA DO WNUCZKI

Tak się dzisiaj z dziadkiem cieszyliśmy, że aż żeśmy se dali buzi. Zupełnie jakby my mieli po dwadzieścia lat! A na początku to się bałam, że będzie się wściekał, że powie, że nie mam już na co pieniędzy wydawać i będzie mi kazał wszystko odkręcać. A tu już nie było wyjścia. Trzeba było to dalej ciągnąć. Wiem, że będzie się trzeba teraz wyrzec wielu rzeczy. Wyciągnąć pieniądze z PKO, trochę przyoszczędzić. Dobrze, że chociaż jest lato i nie trzeba wydawać pieniędzy na węgiel, bo wtedy to już nie wiem.

Dlatego postanowiłam sobie, że powiem o wszystkim dziadkowi, ale jakoś tak go podejść, żeby sam się domyślił. No i zaprowadziłam go tam. Ale się bałam cały czas, że mnie zwymyśla przy ludziach. Ale jako zobaczył to miejsce, to od razu się domyślił, twarz mu się rozjaśniła i sam powiedział, że on też o tym myślał. Tak mu się spodobało, że aż mnie wyściskał. No i żeśmy się pocałowali. Daliśmy se dzióbka! Widać było, że się cieszy tak naprawdę.

STRACH

Strach rozpętał wokół siebie dziką burzę. W ciemnościach zwykły kawałek mokrej szmaty może stać się ciałem potwora. Ale nie tego bał się najbardziej, leżąc nocą w swoim łóżku. Bał się, że gdy tylko wysunie spod kołdry rękę lub stopę, wielka piła tarczowa odetnie mu nieosłonięte części.

WINDA

- Super. I co teraz?
- Nic. Zaraz ruszy.
- Musimy coś nacisnąć.

HISTORIA

Na starożytnej łące pasły się dwa średniowieczne zające i brykały barokowe tygryski. XIX-wieczny uciskany chłop przeszedł obok i niczego nie zauważył. Nawet białego jednorożca ze starej baśni.

WALKA

Wielka to była walka. Zniewalająco piękna w swej niezmierzonej grozie. Stanęli bowiem naprzeciw siebie w zamiarach morderczych dwaj niezwyciężeni greccy bogowie. A piękni byli i wspaniali niczym sam Olimp Chmursięgający. Stanęli tak i zmierzyć się zdecydowali. Zmierzyć na śmierć lub życie, by zwycięzca mógł zjeść ciało pokonanego. Zjeść na oczach jego popleczników, zauszników i nałożnic ku ich niezawinionej rozpaczy, a potem wypluć z obrzydzeniem i satysfakcją największą.

MATYLDA

Stare koronki cichutko trzeszczą na obfitym ciele Matyldy, gdy ta powoli schodzi po schodach. Mężczyźni na dole oblepiają ją tęsknymi spojrzeniami. Nie to, żeby była piękna. Ale to przecież Matylda. Ta, która uwielbia schody, bo wie, że jej ciało oglądane z dołu, przypomina soczyście wypieczonego kurczaka. Szerokie biodra i potężne uda zyskują z swych okrągłych kształtach, gdy porówna się je ze szczupłymi, silnymi łydkami i małymi stopami wciśniętymi w buty na monstrualnie wysokich obcasach.

Ruch Matyldy jest powolny. Jakby chciała podkreślić każdą falistość obfitych piersi i wyraźną wklęsłość talii, mocno obciągniętej staromodnym gorsetem. Matylda nie jest otyła. Jest kobieca w całej potędze kobiecości. Biodra i piersi uważa za swe największe atuty. Nie licząc, oczywiście, niewiarygodnie długich czarnych włosów, które na noc zaplata w dwa grube warkocze, by rankiem pozwolić im opadać w łagodnych splotach aż do pasa.

SPRAWA IRONII NIEŚMIERTELNEJ

- Mam na imię Ironia. Rodzice nie mieli poczucia humoru.
- Przykro mi. Proszę wypełnić formularz i poczekać.
- Mam na imię Ironia...
- Podpis przy krzyżyku. Dziękuję.

Ironia usiadła więc cichutko w kąciku, położyła papier na kolanach i zaczęła czytać to, co wydrukowano na nim koślawą czcionką.

- Imię: Ironia, nazwisko: Nieśmiertelna, zawód: dowolny, miejsce zamieszkania: brak, wykształcenie: wszechstronne. Podpis.

Ironia nie mogła się powstrzymać i dopisała na samym dole: „Przyjmę każdą pracę. Nawet umysłową. Pozdrowienia i wyrazy szacunku.”

POCIĄG POCIĄGIEM

A on patrzy. I czemu tak tylko patrzy? Przecież wysyłam feromony, fluidy, cała się w sobie skupiłam i emituję, długo tak nie wytrzymam, niech wreszcie wyciągnie rękę i dotknie tak ciepło, tak głęboko, tak... Już on sam przecież wie, jak. Tak myślę. No, nie wytrzymam dłużej. Ocknij się wreszcie i odbierz sygnał, bierz mnie teraz i szybko, mocno... Przecież sami jesteśmy i ciemno.

SMAK WINOGRON

Podniósł do jej ust kiść świeżo umytych, nadal ociekających wodą z kranu, winogron. Niepewnie rozchyliła wargi. Jedna z kropel zmoczyła jej usta i popłynęła powoli w dół, ku odsłoniętej szyi. Dotknęła koniuszkiem języka jedwabistej skórki. Przesunęła nim delikatnie po mokrej powierzchni owocu. Ten gest wystarczył, by rozpoznała kształt. Uśmiechnęła się lekko na myśl o nadchodzącej rozkoszy i rozchyliła szerzej usta, by mógł wsunąć do nich cały owoc winorośli.

Zacisnęła na nim wargi. Delikatna gałązka ustąpiła szybko, bez oporu oddając jej ustom słodką miękkość. Zobaczył, że jej smakuje i zapragnął zakosztować tego samego. Wbił się w jej wargi tak, jak ona przed momentem w winogrono z zamiarem wyssania z jej ust całego soku. Nie pozwoliła mu na to jednak, przełykając szybko całą rozkosz.

- Chcę – wyszeptał i wsunął jej do ust kolejny owoc, który oderwał tym razem sam od gałązki. – Pozwól mi.

Posłusznie przygryzła delikatnie miękką skórkę w oczekiwaniu na jego wargi. Zamruczał cichutko i odgryzł połowę.

- Z twoich ust smakuje znacznie lepiej. Chcesz jeszcze?

Zamerdała ogonem na znak zgody.

PO

Roztańczone kropelki spływają w dół zderzając się ze sobą leniwie. Gdyby dotknąć ich koniuszkiem języka rozplyną się na nim, nie pozostawiając choćby cienia domniemanego słonego smaku. Żeby go w pełni poczuć należy je zlizywać zachłannie całą powierzchnią języka. Zlizywać i smakować na podniebieniu.

KUSZYCIELKA

Pierwszą miłość mojego życia odkryłam pod szkolną ławką. Zaglądała mi pod spódniczkę. Nasza miłość – szczerą i nieśmiałą – zakończyła się zimą. Ja zmieniałam szkołę i dom, a on żegnał czule, ładując we mnie kule ulepione ze śniegu.

To było dawno. Potem miłość przypominała mi o sobie raz do roku, w okolicach wakacji. Ale i to było dawno.

Teraz odsiaduję wyrok i piszę pamiętnik.

CHOROBA

Gorąca, pokryta kolcami kula utkwiała w gardle. Puchnie przy każdym przełknięciu śliny. Nie znosi smaku wody i zimnych posiłków. Domaga się wyłącznie gorącej herbaty z cytryną lub sokiem malinowym.

MARIPOSA

Zapachniało karminowym jaśminem, gdy osuwała się na podłogę. Nie widział jej twarzy, gdy traciła przytomność, ale doskonale pamiętał jej lekko nieregularne rysy, które nadawały jej twarzy niepowtarzalnego uroku. Znał ten urok ze swoich snów.

Nie umieraj teraz – szepnął i postąpił krok naprzód, kierując się tym cudownym zapachem, który stawał się coraz wyraźniejszy, jakby nagle zakwitła wokół niego wiosenna łąka, choć nie był to zapach żadnego ze znanych kwiatów, raczej magiczna mieszanka najszlachetniejszych aromatów.

NIGHTINGALE

W noc jego urodzin obudził go głos słowika. „Nightingale” – pomyślał. Burza nocna. Co mogło skłonić małego, uroczego ptaszka do robienia hałasu w środku nocy.

LEGENDA O MATCE

Za sto pięćdziesiąt lat przyjdę na świat. Mój hiszpański ojciec spłodzi mnie z piętnastoletnią Indianką, by chwilę po ekstatycznym westchnieniu ulgi zginąć z ręki jej brata. Moja matka dobrze zapamięta wyraz jego twarzy stężącej z wysiłku i nagłej śmierci. Nie zbliży się już potem do żadnego mężczyzny. Ucieknie w góry, gdzie urodzi mnie w potwornych bólach, tracąc przy tym wiele krwi. Będzie miała odtąd tylko mnie. Jej rodzina zostanie zabita przez znajomych mojego ojca.

MORDERCA

Morderca rozsiadł się na podłodze mojego pokoju. Kazał sobie wystawić ołtarz przystrojony roślinami doniczkowymi.

WARKOCZ Z TRAW

Warkocz z traw zapłonął nad miastem, dotknęłam skroni nieba...
Ogień tli się jeszcze w moich wnętrznościach. Potępiona moja dusza
będzie na wieki. I nie trafi do Piekieł dantejskich ni do Raju utraconego,
błąkać się będzie po bezkresnych pustyniach obłędu wśród wycia
wilków i szumu wyschniętych liści szarpanych przez wiatr.

WISIE

Szare monady w srebrnych szlafrokach rozsiadły się szeroko na blad różowym świcie. Mały nogi zaczarowane i ręce rozpostarte drzewiasto. Czekwały na swoją piękną i jedyną chwilę. Szansę miały tylko jedną Na całe jedno życie. Uśmiechały się więc zamasyście do przefruwających obok bladych od spirytusu ptaków.

SŁOWA, SŁOWA

Słowa w pięknej okładce. Słowa zeszlone w ukochanych ustach, trzeba je stamtąd wydzierać przemocą, delikatnie. No, powiedz to wreszcie. Wyrzuć z siebie. Wiem, co myślisz. Słowa zakłute w milczeniu. Nigdy niewypowiedziane, a jednak tlą się gdzieś w czyimś umyśle. Lekko spróchniałe, gorzkie szkielety.